

ORGAN PODOFICERÓW **WIARUS**

N. 11



Kolekcja
Emila Kornasia

WOJSKA LĄDOWEGO : MARYNARKI WOJENNEJ



Latarnia pokoju w Atenach. — W dowód hołdu dla międzynarodowych kongresów pokoju, które co pewien czas zbierają się w Atenach, rząd grecki po odbyciu się przed niedawnym czasem pierwszego z nich ustawił na górze Lycabette „latarnię pokoju”. Z wysokości 380 metrów promieniują blaski latarni w symbolicznych barwach pokoju: białej, niebieskiej i żółtej, oświetlając całą górę z przytulonemi do niej malowniczo kościołami.

Podajemy fotografię tej latarni, ciekawą również z tego względu, że obsługuje ją starzec 129-letni, uwidoczni-



ny na zdjęciu. Zwie się Manolis i pochodzi z Krety. Od 60 lat nie opuszcza wierzchołka góry, korzystając z udzielonego mu schronienia przy kościele św. Jerzego.

Manolis żyje dotąd w kawalerskim stanie, czuje się silny i zdrow. Zachował jasny umysł i cieszy się dobrym wzrokiem, słuchem, a nadewszystko apetytem. Pamięta on ludzi i zdarzenia z przed stu lat i chętnie opowiada, jak to w 1828 roku, mając lat 26, brał czynny udział w ruchu rewolucyjnym Grecji.

W czerwonym raju. — W Rosji X wieku, w czasach, gdy stolicą jej był Kijów, kwitł handel niewolnikami. Dzisiejsza Rosja sowiecka zajmuje się handlem niebo-

szykami. Trupy z Bolszewji znajdują kres swej ziemskiej wędrówki w prosektorjach Kanady i niektórych państw europejskich, tam, gdzie ich brak jako materiału dla doświadczeń naukowych, daje się silnie we znaki studentom medycyny. Podobno zamówienia są pokaźne i załatwiane bardzo punktualnie, ponieważ dostawcy posiadają tego materiału dość, aby zaspokoić najbardziej wybredne żądania...

Świadczy to o wielkiej śmiertelności w Sowietach. Trojakię są tego przyczyny: brak opieki i środków lekarskich, wręcz odrażające warunki mieszkaniowe i współżycia, szczególnie ludności miast, oraz nędza i bezprzeglądny ucisk klasy robotniczej i niezliczonych rzesz więźniów politycznych, zamkniętych w obozach koncentracyjnych lub wysyłanych do najniezdrowszych zakątków za to jedynie, że są duchownymi, albo byli zamożni zanim im wszystko zabrano, lub też stawili najmniejszy choćby opór zarządzeniom władzy.

W Moskwie, gdzie rząd ma możność stałego i całkowitego nadzorowania pracy swych organów podwładnych, śmiertelność chorych w ciągu pierwszych 5 dni ich pobytu w szpitalach wynosi 40%. Przytem wciąż mnoży się ilość odmów przyjęcia na leczenie zakaźnie chorych. Z konieczności kurują się oni w domu, zarażając swemi chorobami otoczenie. Żeby przynajmniej mogli nabyć niezbędne lekarstwa! Gdzież tam, najzwyczajniejsze z nich, jak olej rycynowy, chininę, kamforę, jodynę, lekarz zapisuje tylko w razie bardzo ciężkiej choroby, Bez jego recepty aptekom nie wolno ich wydawać — aby choć tych środków nie zbrakło zupełnie.

To też śmierć jest tutaj zjawiskiem równie częstym — jak rozwody. Liczba ich wzra-

sta niepomniernie z roku na rok. W Leningradzie w r. 1926 na 21.000 związków małżeńskich zarejestrowano 6.000 rozwodów. W roku następnym na 24.000 związków przypadło 16.000 rozwodów.

Obecnie procedura otrzymania rozwodu jest w Bolszewji tak ułatwiona, że niemal przestała istnieć. Związki małżeńskie zawiera się tam na tydzień, często na 2 lub 3 dni. Jest to rodzaj umowy, którą bardzo łatwo zerwać, wystarczy, aby sobie tego życzyła jedna ze stron zainteresowanych: mąż lub żona. Rzeczywiście, niezwykła prostota obyczajów!

Ta prostota przejawia się i w innych dziedzinach życia. Naprzykład, gdy rodzina napróżno wygląda w domu kogoś ze swych członków, gdy już straci nadzieję, że oczekiwany domownik niebawem się zjawi, idzie po wiadomości „prosto” do G. P. U. Bo w raju sowieckim nikt, wychodząc z domu, nie jest pewny kiedy i czy do niego powróci. Zawsze zato może trafić do G. P. U. Każdej chwili może być aresztowany na ulicy, w teatrze, u znajomych, wszędzie. Za co? O to najmniejsza. Czekiści „z prostotą” mawiają: „Dajcie nam tylko człowieka, a już my potrafimy wyszukać powód, aby pociągnąć go do odpowiedzialności karnej”.

Wybuch wulkanu na Jawie. — Wyspa Jawa była przed kilku tygodniami terenem niezwykle silnego wybuchu wulkanu. Rzeki syczącej lawy, wydobywającej się z wnętrza ziemi, płynęły z bulgotem szeroko, niszcząc po drodze wszystko, co napotkały. Pola uprawne pokryła wrząca, brunatna ciecz o temperaturze 800 st. Drzewa i domy również padły pastwą ognistego błota. Złowrogi żywioł ogarniał śmiertelnym uściskiem zwierzęta i ludzi, którzy nie zdołali w porę

ucieć. Pobliskie wioski, otoczone zewsząd morzem przelewających się płomieni, zostały odcięte od świata. Niešťczesnym więźniom lawy pośpieszyło na ratunek lotnictwo, dostarczając im przy pomocy spadochronów, spuszcanych z samolotów, niezbędnych środków żywności.

Prócz niszczycielskiej lawy, krater wulkanu wyrzucił podczas wybuchu wielkie ilości popiołu. Pod jego grubymi warstwami łamały się gałęzie drzew i zapadały dachy domów. Jedną z okolic dotkniętych klęską pokrył całun białego pyłu, który w tym kraju podzwrotnikowym dał niezwykle złudzenie krajobrazu północnego w śnieżnej szacie.



Według wiadomości nadesłanych z Indyj Holenderskich, w katastrofie tej postradało życie 1300 ludzi, zniszczeniu zaś uległo 1380 domów.

Podajemy ilustrację, wyobrażającą rodzinę jawańską, która padła ofiarą rozszalałego żywiołu.

Podatek od kawalerów. — W Jugosławji ma być niebawem wprowadzony podatek od bezżeństwa, i to nie tylko dla kawalerów, ale i dla wdowców i rozwodników, którzy znajdując się pomiędzy 50 a 60 rokiem życia, nie wstępują w związki małżeńskie. Oplata największa za to „przestępstwo” jest w pierwszym dziesięcioleciu po trzydziestce, w następnych latach zmniejsza się coraz bardziej, a w 60 roku życia wygasa całkowicie. Rodziny wiejskie, mające 6 lub więcej dzieci, zwolnione będą całkowicie od podatków.

WIARUS

Nr. 11

ORGAN PODOFICERÓW WOJSKA LĄDOWEGO
I MARYNARKI WOJENNEJ

Rok II

Warszawa, 15 marca 1931 r.



JÓZEF PIŁSUDSKI.

Photoplat.

NAUCZYCIEL ZWYCIĘSTWA

Nauczycielem był Józef Piłsudski od najwcześniejszej młodości. Na tajnych zebraniach, na łamach redagowanego przez siebie „Robotnika” uczył przez długie lata pragnienia wolności, dumy, odwagi i konieczności zbrojnej walki z najazdem.

Od najdawniejszych także lat, ucząc i walcząc, badał i analizował przebieg bojów, udział w nich wodzów i żołnierzy, powstawanie decyzji dowódcy i narodziny zwycięstwa. Były to zagadnienia, które nie tylko przeżywał, ale także głęboko przeżywał, kierując Organizacją Bojową Polskiej Partii Soc. podczas rewolucji w latach 1905—7.

Po upadku rewolucji w Królestwie zagłębiał się w dzieła historyczno-wojskowe i studjował dzieje wojen napoleońskich, naszych powstań, szczególnie 1863 r., wojny burskiej, japońskiej i bałkańskiej. Obdarzony nadzwyczajną pamięcią, znał dokładnie przebieg każdej operacji, plany i decyzje wodzów, postawę oddziałów, nastrój żołnierzy, klęski i triumfy stron walczących.

Z tym ogromnym zasobem przeżyć osobistych, przemyśleń i studjów przystąpił do pracy nauczycielskiej i wychowawczej w zorganizowanym przez siebie i swoich najbliższych pomocników w r. 1908 Związku Walki Czynnej, przemianowanym w r. 1910 na Związek Strzelecki, którego koła rozsiane były nie tylko w Małopolsce, ale i w większych skupieniach polskich zagranicą — w Szwajcarii, Francji i Belgji.

Komendant wykladał i uczył na wyższych kursach oficerskich Związku Strzel. we Lwowie i Krakowie, wygłaszał odczyty, pisał artykuły i studia. We wszystkich tych wykładach, studjach i odczytach przewija się, jak nie czerwona, zagadnienie zwycięstwa.

Dla starych strzelców lwowskich niezapomniany do końca życia pozostanie odczyt Komendanta „o kryzysach bojów”. wygłoszony 13 maja 1911 r. we Lwowie. Wtedy to, w ów pamiętny wieczór, już nie w gronie zamkniętym, jak dotychczas — konspiracyjnie, ale jawnie — w odczycie publicznym, na wielkiej sali, zapelnionej po brzegi

publicznością, padły po raz pierwszy po kilkudziesięcioletniej przerwie słowa o boju — nie literackie, poetyczne uniesienia, lecz naukowa, wnikliwa analiza przebiegu nowoczesnej walki, kryzysu moralnego i zwycięstwa.

Mówił wtedy Komendant o pierwszym okresie walki, nazwanym bojem zużycia, w którym „jak w żarnach przemiela się siła człowieka, siła ludzkiego charakteru”, jak to „bój w pierwszym okresie nawet prowadzony jest w tym celu, by przeciwnika doprowadzić do



kryzysu w stanie zupełnego zwiotczenia” — zużycia nerwowego, zdemoralizowania.

„W kryzysach boju zwycięstwo dokonywa się w tajnikach duszy ludzkiej. Szala zwycięstwa rozstrzyga się w sercu, woli, charakterze i w umiejętności trwania u człowieka. W kryzysie technika ustępuje miejsca charakterowi”.

I podawał przykłady tych kryzysów z wojny burskiej i japońskiej, z których wychodzili zwycięsko bardziej wytrzymali nerwowo, wytrwali, silniejsi.

Ryły się w pamięci strzelców te słowa nauki i obrazy bojów, tak żywo i barwnie kreślone, jak to jeden Komendant potrafi.

Więc nie cyfry, nie środki techniczne — których nie posiadaliśmy — lecz wytrwanie, wola, charakter odgrywają decydującą rolę w tych zmaganiach i — zwyciężają!...

A pod koniec odczytu rzucił

przed oczy słuchaczy obraz zwycięskiego wodza, generała japońskiego Kurokiego, w bitwie nad Sza-he. Zewsząd otoczony, wódz japoński trwa i wypuszcza z swej ręki, jak sokoły, ostatnie odwodowe oddziały. Wkońcu pozostała mu jedna brygada generała Okasaki — „brygada orłów”. W odpowiedzi chwili, gdy kryzys boju osiągnął najwyższe napięcie, w celu przechylenia szali zwycięstwa rzuca w bój i tę brygadę.

Szczegółowo, krótkimi zdaniem, opisywał, raczej mistrzowsko szkicował przebieg tego dramatu, niepokój, z jakim generał Kuroki śledził akcję. „Ciężka chwila niepewności. Brygada staje. Okasaki nie może iść naprzód. Nie. On czeka, aż pod ogniem jego brygady stopi się hart wroga. Czyha na chwilę słabości. Wybrał ją — zrywa się i zwycięża”.

Tak uczył Marszałek Piłsudski swoich strzelców zwycięstwa. Słowa te, myśli i obrazy głęboko zapadały w ich dusze. Z nimi w sierpniu 1914 r. wyruszyli w pole na boje o niepodległość. I szli odtąd przez kilka lat od zwycięstwa do zwycięstwa z Wodzem swoim i Nauczycielem na czele. Niejeden raz przeżywali kryzysy, odnosząc zwycięstwa i okupując je ciężkimi ofiarami.

Podczas tej długiej wojny najcięższe jednak chwile przeżywali żołnierze Józefa Piłsudskiego nie w ogniu bitew, w których najwięcej padało poległych i rannych, lecz w przełomach — kryzysach politycznych. Taką najcięższą i dla Wodza i dla jego żołnierzy — legjonistów chwilą był sierpień 1916 r., kiedy Komendant podał się do dymisji — i lipiec 1917 r., zakończony odmową przysięgi na braterstwo broni z Niemcami. Magdeburgiem, Szczypiornem, Benjaminowem.

Nauczyciel nasz był w czasie wojny wodzem naszym. W licznych bojach wypuszczał, jak sokoły, najpierw nasze bataljony strzeleckie i legionowe, później — w wojnie polskiej brygady, dywizje, a wkońcu całe armje. A sokoły te, wypuszczane pewną, nieulekłą, zdecydowaną ręką Wodza, leciały w boje, krwawiły się, zmagaly z przeważającą chmurą wroga i — wydzierały zwycięstwo.

Stanisław Falkiewicz

KOMENDANCIE!

Komendancie!

*Tyś nas wtedy miodł
w ziemię kielecką.*

Tyś pierwszy zawałał: „Powstańcie!”

I czapkę strzelecką w orla przystroił znamię.

*Wzięliśmy broń na ramię
i spełnił się cud...*

A dziś! Jak to darono się zdaje:

*Został za nami szlak krwi,
krzyże i rozstaje.*

...Ale przecież to Ty

sprawiłeś, że na amarańcie

molny trzepoce się ptak

z zamkowej wieży.

*Dziś masz nie garść, lecz tysiące
oddanych żołnierzy,*

bulawę — zwycięstwo znak!

*Lecz wiem, że Two serce gorące
miarusów mile wspomina.*

Przyjm więc życzenia te,

które serdecznie Ci śle

Twa dawna szara drużyna.

Komendancie!

TADEUSZ MICHAŁ NITTMAN

ROZKAZ NACZELNEGO WODZA

Walna bitwa podczas wojny jest świętem żołnierza. Musi on przedtem wiele dróg przemierzyć, wiele nocy nie dospać, odczuć całe piekło trudu wojennego, skrwawić się w niezliczonych bojach i potyczkach nim los pozwoli mu zbliżyć się do tego dnia, w którym zaświeci mu słońce wojny — zwycięstwo.

W dniu bitwy on, żołnierz milczący dochodzi do głosu. Na jego honorze, i wytrwałości, na jego męstwie i zdolności bojowej spoczywają wtedy dalsze losy wojny, spoczywa przyszłość Ojczyzny.

Z tego powodu dawnymi czasy wojsko, do walnej bitwy idąc, przywdziewało najlepsze swe stroje, by zaznaczyć ważność chwili.

Obecnie przygotowuje się ono do tego święta jeszcze uroczystiej i staranniej tak duchowo, jak i technicznie. Ale najważniejszą zbroją dzisiejszego żołnierza - obywatela jest jego wiara w zwycięstwo. Wiara w słuszność, że warto poświęcić się dla dobra ogółu i że ofiara ta jest nie tylko potrzebna ale celowa.

Bez tej świadomości najlepiej nawet uzbrojony i wyszkolony żołnierz nie zdobędzie się na konieczny warunek zwycięstwa — na zapał i chęć do boju — nie zaryzykuje największej swojej wartości — własnej głowy. Bo



Komendant nad mapą.

czyż można zmusić człowieka, by dobrowolnie i chętnie za innych składał swe życie. Może to zrobić tylko on sam.

A broń tę daje żołnierzowi zaufanie do dowódcy. Niezlomna wiara w Wodza jest tajemnicą zwycięstwa żołnierza.

Siła wojska — to nie ilość — pod Kircholmem hetman Chodkiewicz z 3.000 żołnierza bije na

głowę 14.000 Szwedów Karola Sudermańskiego, a 200 szwoleżerów naszych zdobywa Somo-Sierę. Siła wojska nie leży także wyłącznie w bogactwie środków walki: armatach, samolotach czy gazach trujących — przykładem jest obrona Verdun'u. Potęga wojska jest w tem, że działa ono jednolicie, zwraca swój wysiłek w jednym kierunku, że jednocześnie masa ludzi zdąża do jednego celu.

Inaczej wojsko staje się bezsilnym i bezmyślnym tłumem wydanym wrogowi na rzeź.

Jednolitość, pewność i szybkość działania osiąga wojsko tylko wówczas, gdy ożywia je jedna myśl i jedna wola. Z tej przyczyny wojskiem.

odkąd ono istnieje kierował i kieruje jeden tylko człowiek.

Kapral dowodzi szeregowcami. — generałowie, stojący na czele armij są żołnierzami Naczelnego Wodza. Motorem więc pracy milionowego nawet wojska jest wola Naczelnego Wodza, wyrażona w jego rozkazie. Naczelnym Wódcą jest jedynie odpowiedzialny przed narodem za

wynik działań wojennych wojska. — Jemu też należy się w pierwszym rzędzie zasługa zwycięstwa.

Wszyscy inni żołnierze, Jemu podlegli, przed Nim ponoszą odpowiedzialność, On może tylko dzielić pomiędzy nich zasługi, jak dzielił poprzednio role. Takie jest prawo dowódcy i prawo bitwy.

Bo przecież Wódz Naczelny przeżywa wszystko, jak każdy człowiek. A jakież potworne ciężar składa Mu naród na barki, — losy państwa.

Jak łamać się wśród przeciwności, które mu piętzą zadanie i nieprzyjaciela, i jak zwyciężać samego siebie musi On, gdy swą decyzją, aktem swej woli skazuje na śmierć czy kalectwo tysiące najlepszych obywateli, by osiągnąć zwycięstwo. A wojna to nie same jeno powodzenie, bo wróg także posiada swoją wolę i swoją siłę, tem większą, że trudną do rozpoznania. Pokonać go można dopiero wtedy, gdy pozna się jego zamiary, jego siły i jego słabe strony.

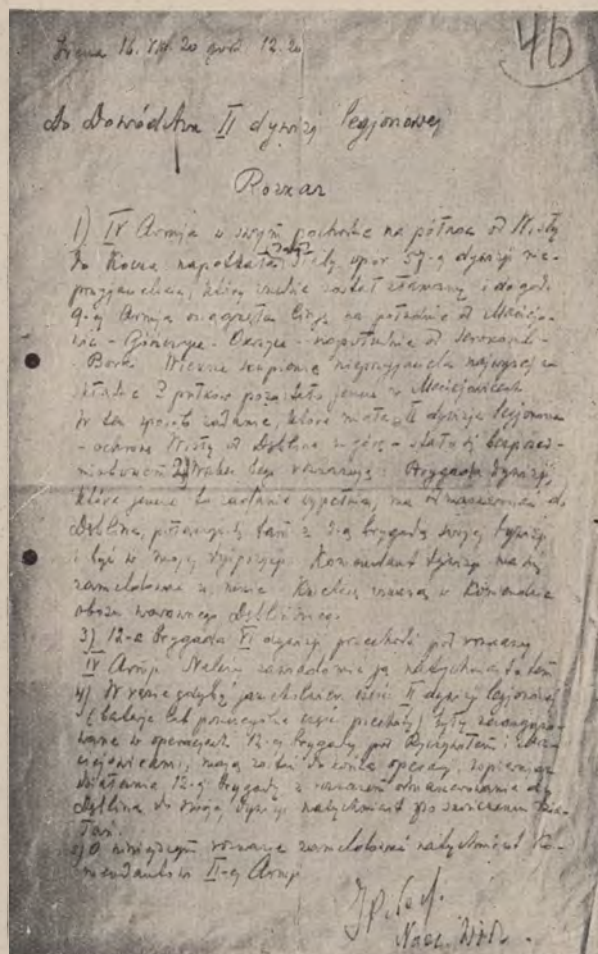
Duszą więc pracy wojska jest rozkaz Naczelnego Wodza, a warunkiem wykonania Jego woli — jest zapal szeregów, oparty na autorytecie Wodza. Bo On jest wówczas ucieleśnieniem woli narodu; na Jego osobie skupia się miłość żołnierza do Ojczyzny.

Dziś w dzień Imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego — zwycięskiego Wodza Naczelnego w ostatniej wojnie, pragnę przypomnieć, w jaki sposób powstał jeden z najważniejszych aktów woli Naczelnego Wodza, a mianowicie rozkaz do natarcia rozstrzygającego podczas bitwy warszawskiej. Dnia 12 sierpnia 1920 roku wojsko polskie pomyślnie wykonało podstawową część planu Wodza Naczelnego — ustawiło się w szyku obmyślnym i nakazanym przez Niego do walnej bitwy, zwalczwszy przeszkody stawiane przez nieprzyjaciela.

Tegoż dnia wieczorem Wódz Naczelny udał się na swoje sta-

nowisko do Puław, do wojsk, które w nawiązującej się bitwie miały najważniejsze zadanie — atak rozstrzygający. Dawniej taką rolę otrzymywała husaria, — przy niej obierał swoje miejsce hetman wielki, zazwyczaj sam ją też prowadził do zwycięstwa.

Marszałek Foch tak ujmuje rolę Naczelnego Wodza: „Wyłącznym i jedynym zadaniem kierownictwa bitwy jest przygotowanie natarcia rozstrzygającego i zapewnienie mu powodzenia”.



Ponieważ Wódz Naczelny musiał ze względu na zabezpieczenie stolicy przeznaczyć do jej obrony większość wojska 13 dywizyj, przeto obecnością swoją zwiększył siłę 5 tylko dywizyj, przeznaczonych do ataku głównego.

Przed wyjazdem z Warszawy, wieczorem 12 sierpnia Naczelny Wódz miał odprawę z generałami: Rozwadowskim, Weygandem i Sosnkowskim, którym powierzył nadzór nad frontem obrony, wyjaśniając raz jeszcze swe wymagania i rolę tego frontu w całokształcie walnej bitwy. 13 sierpnia rano takąż odprawę odbył w Irenie pod Dęblinem z ge-

nerałami: Rydzem-Śmigłym i Skierskim, dowódcami armij frontu środkowego, czyli frontu ataku. Po szczegółowym wyjaśnieniu planu i rozdzieleniu ról — Wódz Naczelny cały dzień 14 sierpnia poświęcił na „wprowadzenie w trans“ bojowy szeregów. Od godziny 8 do północy objeżdżał po kolei dywizje, pouczał oficerów, robił przegląd pułków, przyczem wszędzie udzielał się żołnierzom, to rozmawiał z nimi wesoło, to mówił o ważności chwili, o bliskości zwycięstwa. Obecność Wodza Naczelnego wywoływała jak świadczą kroniki pułkowe, niesłychany zapal.

A tymczasem nadchodziły meldunki od szefa Sztabu Generalnego, od dowódców frontu i armij o nieprzyjaciela, o jego siłach i ruchach a natarcia wroga mówiły o jego zamiarach i uszykowaniu.

Jakkolwiek pod Radziminem niedobrze się działo, jednak ogólne położenie było dla nas korzystne; wróg zczepił się już mocno z naszym frontem obrony a zaślepiony bliskością stolicy, rzucił się z furją na jego obrońców, nie domyślając się nawet, że nasz Wódz Naczelny trzymał jeszcze najsilniejszy swój atut w ręku.

Jednak obawa o Warszawę, „na której wytrzymałości były oparte wszystkie obliczenia“ z jednej strony — z drugiej urze-

czywistnienie się Jego przewidywań oraz nastrój wojsk — grupy manewrowej skłoniły Wodza Naczelnego do przyspieszenia ofensywy o jeden dzień.

O godzinie 1 w nocy z 14 na 15 sierpnia Wódz Naczelny wrócił strudzony z objazdu dywizyj do Puław, do swej kwatery głównej. Tam po zapoznaniu się z położeniem, po zebraniu wszystkich elementów decyzji — przystąpił do pracy nad rozkazem do ataku...

Wyobraźmy sobie dość duży, słabo oświetlony pokój. Przy stole założonym mapami siedzi pułkownik Sztabu Generalnego. To szef sztabu kwatery głównej — młody, płk. Stachiewicz. Co chwila uważnie coś notuje.

Co chwila bowiem padają zwolnawione wyrazy. Padają z ust Naczelnego Wodza, który zapomniawszy o całodzinnej, ciężkiej, 17-godzinnej pracy niemal bez przerwy, chodzi po pokoju, pali papierosa i dyktuje.

Oczywiście nie rozkaz. Rozkaz napisze szef sztabu — to jego obowiązek. Wódz Naczelny dyktuje swą wolę, — wytyczne napisania rozkazu.

Leżą przede mną dwie małe, połówkowe karteczki z bloczka, zapisane cieniutkimi hieroglifami. Oczywiście stenografja. To jest właśnie treść tego, co podyktował Marszałek Piłsudski wówczas w nocy z 14 na 15 sierpnia 1920 roku w pałacu puławskim płk. Stachiewiczowi.

Oto:

„Stosunki podległości: Śmigły i Skierski bezpośrednio podlegli.

Zadanie 4-ej armji: marsz wprost na północ z możliwością zwrócenia piechoty na północo-wschód.

Komplikacją jest prawe skrzydło.

Główny punkt działania: możliwa szybkość tak, aby było wrażenie piorunujące.

3-a armja przykrywa w pierwszej chwili całą operację od wschodu. Zarazem musi 3-a armja dać ofensywny wysiłek, skierowany schodem na południe od 4-ej armji a względnie uderzeniem na północny wschód.

Współdziałanie 2-ej armji jest bierne.

Współdziałanie 1-ej armji polegać będzie na przyjęciu udziału w ofensywie prawem skrzydłem.

Czas: przy decyzji nocnej rozpocząć 15-go wieczorem. Jeżeli w dzień to 16-go rano.

Decyzja: zaczynamy 16-go rano. Zaczyna 4-a armja.

Górska dywizja z kierunkiem na Radzyń.

3-a armja — minimum 1-a dywizja zaczyna w tej samej porze na Parczew.

1-a armja 16.VIII popołudniu dołączy się do tego ruchu.

Jaworski: całość na styku między obu armjami stanowi rezerwę Naczelnego Wodza. Z jeźdźców niezdolnych do boju kawaleryjskiego wydzielić szwadron dla łączności. Z resztą stanąć w Firleju.

2-a dyw. leg. przez Lublin na Krasnystaw po pierwszym dniu operacji¹⁾.

Wymagania: szybkość w działaniach 4-ej i ofensywnej grupy 3-ej armji. Bardzo wielka decyzywność pracy.

Ogólne cele — degażowanie operacji²⁾, przejście linii komunikacyjnych na przód 16-ej armji sowieckiej, potem armij bardziej północnych. Lotnictwo — szosy wzdłuż Wieprza i Żelechów — Łuków.



Zmęczenie w nogach piechura...

To są owe wytyczne do napisania rozkazu. Dwie małe karteczki nie podpisane przez nikogo. Do nich jednak jest przyczepiona trzecia z wyjaśnieniem, co one znaczą.

Po otrzymaniu wytycznych płk. Stachiewicz wyszedł do drugiego pokoju i podyktował kpt. Nałęczowi-Korzeniowskiemu pełną redakcję rozkazu. Tego bowiem ręką jest pisany bruljon rozkazu z 15 sierpnia. Ale na bruljonie widzimy mnóstwo dwójakiego rodzaju poprawek i wsta-

¹⁾ Przeciwno ewentualnemu napadowi Budiennego — Wódz Naczelny przewiduje to co stanie się.

²⁾ Przez uderzenie równoległe do frontu obrony, część tego frontu staje się odwodem stopniowo.

wek, jedne pismem płk. Stachiewicza, inne stenograficzne. Świadczą one, że rozkaz uzupełnił najpierw płk. Stachiewicz, potem odczytał go Wodzowi Naczelnemu i Jego poprawki zanotował stenograficznie.

Wtedy dopiero oddano rozkaz do przepisania na maszynie.

Wróćmy jednak do dokumentów. Obok „koszulki” i czystopisu rozkazu (podpisanego przez płk. Stachiewicza) widzimy starą, żółtą kopertę, zaadresowaną: Do rąk własnych szefa sztabu 4-ej armji, z pieczęcią „ściśle tajne”. A na niej dopisek ołówkiem anilinowym: doręczył płk. szt. gen. Rybakowi porucznik Meyer¹⁾ o godzinie 3 rano 15 sierpnia 1920 roku. A więc całkowity proces powstania rozkazu trwał od godziny 1 w nocy do 3 rano, wraz z dwukrotnym przepisaniem i odniesieniem rozkazu przez por. Meyera do dowództwa armji.

W tym samym czasie otrzymał go gen. Śmigły-Rydz zapomocą telegrafu Hughes’a.

Oto dzieje narodzin jednego z najdonioślejszych i najpiękniejszych rozkazów Naczelnego Wodza: rozkazu do kontrofensywy. Po wydaniu tego rozkazu Wódz Naczelny przystąpił do napisania listu służbowego do Szefa Sztabu Generalnego z obszernymi instrukcjami²⁾.

A gdy świt zajrzał do okien, Marszałek Piłsudski udał się dopiero na spoczynek.

W 24 godziny później, 16 sierpnia o świcie armje frontu środkowego, mając Wodza Naczelnego w swych pierwszych szeregach, runęły z nad Wieprza jak huragan na wroga, oblegającego Warszawę. Wola Naczelnego Wodza stała się czynem, który otoczył nasze chorągwie wawrzynem trudnego, wielkiego zwycięstwa.

Adam Borkiewicz.

¹⁾ oficer z Kwatery Głównej.

²⁾ List ten nosi datę 15 sierpnia g. 3 min. 10.

Rzeczą żołnierza jest stworzyć dla Ojczyzny piorun, co błyska, a gdy trzeba — uderzy.

JÓZEF PIŁSUDSKI.

NAUKA DOWODZENIA

ZADANIE TAKTYCZNE Nr. 21 OMÓWIENIE I ROZWIĄZANIE.

W założeniu do zadania takt. Nr. 21 (patrz: zeszyt 7 „Wiarusa”) opuszczono ze względu na brak miejsca pytanie 5, którego brzmienie było następujące: Nieprzyjaciół wycofuje się z lasu przy trakcie. Kiedy jednak pluton doszedł na wysokość północnych skrajów L. 3 i L. 4, został on gwałtownie ostrzelany przez 2—3 k. m. ze wzgórza za rzeką Mienia. Ze stanowiska plutonu widać znikające za wzgórzem grupy nieprzyjacielskich piechurów. Pytanie 5. Nie układając rozkazów napisać, co sierż. D. postanawia dalej czynić.

Pytanie 1. Przedewszystkiem będzie chodziło o szybkie rozpoczęcie pościgu, ażeby nieprzyjaciela dogonić. Możemy więc przyjąć, że sierż. D. postawi swój pluton na nogi i z chwilą dołączenia do niego taczanki rozpocznie marsz. Jeśli jednak taczanka jest na miejscu, to marsz rozpocznie się natychmiast, a rozkazy zostaną wydane podczas ruchu.

Jaka będzie treść tych rozkazów?

Pościg rozpoczyna się w nocy. Jeszcze w ciemnościach można zetknąć się z nieprzyjacielem, a więc do takiej możliwości będą dostosowane i rozkazy.

W nocy pluton łatwo wpaść może w zasadzkę. Ogień kilku karabinów, wykonany z najbliższej odległości, może zadać plutonowi dość znaczne straty. Pierwszym więc warunkiem powodzenia będzie wykonanie marszu możliwie cicho, aby nieprzyjaciół nie usłyszał nas zdaleka i nie przygotował się do zaskoczenia nas ogniem.

Jak będzie wyglądało działanie plutonu podczas spotkania w ciemnościach?

Oczywiście nie będzie mowy o jakimś planowym używaniu ognia. (patrz nasze artykuły o działaniach nocnych w zesz. 25 i 26 z ub. r.) A więc sprzęt wybitnie ogniowy będzie w tem starciu bezużyteczny. To wskazuje na konieczność prowadzenia taczanki za plutonem i to dość daleko, by hałas jej nie zdradził nas. Ręczne karabiny

maszynowe również będą bezużyteczne.

Spotkanie z nieprzyjacielem trzeba będzie rozstrzygnąć natychmiastowym uderzeniem na bagnety. Szerokie rozwijanie plutonu do takiej walki byłoby bezcelowe: drużyny pogubią się, wymkną się z ręki dowódcy plutonu, a w ciemności nie można im nawet porządnie wskazać zadań. Pluton będzie więc maszerował w kolumnie, a w razie spotkania uderzy błyskawicznie, niewiele tylko rozciągając się po obu stronach drogi.

W takim szybko rozgrywającym się starciu nocnym garłacze będą bezużyteczne. Strzelanie z nich mogłoby być nawet niebezpieczne dla własnych szybko szturmujących strzelców. Garłaczowi są jednak uzbrojeni także w bagnety, mogą więc również wziąć udział w walce.

Czy jednak marsz w tak gęstym i wrażliwym szyku, jak kolumna, nie będzie lekkomyślnością? Mówiliśmy wszak, że grozi nam zasadzka.

Przedewszystkiem musimy iść szybko, a to można zrobić w nocy tylko maszerując drogą. Jeśli jest ona szeroka — można rozdzielić się na obie jej strony. Poza tem trzeba iść *pocichu*, a więc bez wydawania głośnych rozkazów i hałaśliwego przedzierania się przez teren, co miałoby miejsce przy marszu nocnym w szyku luźnym. Pluton jest tak małym oddziałem, że może z kolumny natychmiast przejść do szturm. Tę minimalną ilość czasu, jaka potrzebna jest do rozciągnięcia się nieco wszcz, zapewnimy sobie, ubezpieczając się od czoła szpicą, złożoną z kilku ludzi pod dowództwem dobrego podoficera.

Drugim, bardzo ważnym środkiem w celu uniknięcia złych skutków zaskoczenia będzie uprzedzenie ludzi o możliwości takiego nagłego starcia i określenie zgóry sposobu rozwinięcia się plutonu do walki.

Rozkazy wydane przez sierż. D. przed rozpoczęciem pościgu mogłyby więc brzmieć następująco:

„nieprzyjaciół cofa się. Nasz pluton rozpoczyna pościg wzdłuż traktu na Reszta bata-

ljonu wyruszy najdalej w godzinę po nas.

Plutonowy N. (zastępca sierż. D.) z 6 ludźmi z 1 drużyny maszerujecie jako szpica wzdłuż traktu. Pluton idzie za wami w odległości 100 m.

Reszta 1-ej drużyny w dwójkach po lewej stronie drogi. Jedną parę łączników za szpicą. Drużyna 3-a za pierwszą. Po prawej stronie drogi drużyna 2-a, za nią sekcja garłaczy. Trzy obsługi r. k. m. utworzą trzy grupy łączników co 50 m pomiędzy plutonem a taczanką, która wraz z cyklistą będzie posuwała się w odległości 200 m za plutonem aż do nowego rozkazu.

Wszyscy bagnety na broń! W razie nagłego starcia przechodzimy do szturm: 1-a drużyna na trakcie, 2-a — na prawo, 3-a — na lewo od drogi. Sekcja garłaczy w drugiej linii na trakcie. Ja maszeruję na czele plutonu“.

Sierż. D. nie maszeruje przy szpicie, ponieważ w wypadku nocnej walki chce bezpośrednio oddziaływać na całość swojego plutonu.

Pytanie 2. Ustąpienie ciemności musi gruntownie zmienić sposób działania plutonu. Ogień otrzymuje zpowrotem swoje prawa. Trzeba ubezpieczyć marsz plutonu przed zaskoczeniem ogniem, wysuwając szpicę na większą niż w nocy odległość i dając jej ręczny karabin maszynowy.

O świcie ulegną też zmianie warunki dowodzenia plutonem. Sposób zawiązania ew. walki musi być lepiej dostosowany do terenu, niżby to miało miejsce w nocy. Dowódca musi być wcześniej zorientowany w terenie starcia, by nietylko szybko, ale i celowo wprowadzić drużyny do walki. Mniej natomiast będzie chodziło o bezpośrednie oddziaływanie dowódcy na całość plutonu, co przy wyruszaniu było powodem, że sierż. D. umieścił się na czele sił głównych. Teraz łatwiej można rozkazywać za pomocą znaków i wydawanych zdaleka rozkazów.

Również traci swą wagę zachowanie cizy podczas marszu. Hałaśliwą taczankę można zbliżyć do plutonu, aby była pod ręką.

A więc o świcie sierż. D. postąpiłby następująco:

a) wcieliłby do drużyn zpowrotem obsługi ręcznych karabinów maszynowych, podciągając równocześnie taczankę do głównych sił plutonu;

b) następnie z resztą pierwszej drużyny i cyklistą dołączyłby do szpicy;

c) zastępcy swemu kazalby objąć dowództwo nad głównymi siłami plutonu i prowadzić je w odległości np. 300 m za szpicą;

d) zarządziłby zdjęcie bagnetów.

Pytanie 3. Pluton natknął się w ciemności na nieprzyjaciela. Bez względu na jego siłę i zamiary, trzeba natrzeć natychmiast. Pluton przechodzi do szturm w sposób opisany w omówieniu pytania 1. Niema czasu na wydawanie długich rozkazów. Prosty okrzyk sierż. D. „naprzód!”, lub „szturm!” przypomniał drużynom rozkaz poprzedni i poderwie opieszale.

Pytanie 4. Nieprzyjaciel chce opóźnić nasz pościg. Nie tracąc czasu trzeba zepchnąć go z zajmowanych stanowisk. Aby to szybko poszło, trzeba nacierać odrazu szerokim frontem. Można będzie wtedy oskrzydlić szybko poszczególne grupy nieprzyjaciela; ponieważ znajduje się on w odwrocie, będzie więc na takie działanie bardzo wrażliwy. Faliasty teren i niewielka odległość, dzieląca wieś Brzezine od lasów zajmowanych przez nieprzyjaciela, pozwalają powziąć taką śmiałą decyzję. Sierż. D. rozkazuje: „natarcie po obu stronach traktu. Drużyna 1-a — na ten lassek pod moje dowództwo — lassek na lewo. Druga drużyna — kierunek na prawy, trzecia — na lewy róg lasu. Sekcja garłaczy ze mną. Taczanka: ze skraju wsi ostrzelać nieprzyjaciela przez lukę między drużynami 1-a i 2-a. Po osiągnięciu przez nas lasów — skok naprzód”.

Zastępca dowódcy i cyklista pozostają z taczanką.

Pytanie 5. Natarcie wzdłuż traktu przez otwartą i silnie ostrzeliwaną równinę nie rokuje powodzenia. Trzeba spróbować zepchnąć nieprzyjaciela przez oskrzydlenie lub co najmniej rozpoznać szerokość jego ugrupowania i teren na skrzydłach, by ułatwić ew. natarcie bataljonowi. Wobec tego sierż. D. postanowi:

a) wiązać nieprzyjaciela ogniem od czoła, stawiając na skraju lasów L. 3 i L. 4 taczankę i jedną drużynę pod dowództwem swego zastępcy;

b) resztę plutonu poprowadzić przez lassek L 6 do oskrzydlenia od wschodu;

c) na lewe skrzydło wysłać patrol z 4—5 ludzi z drużyny pozostawionej przy trakcie;

d) wysłać przez cyklistę odpowiedni meldunek do dowódcy bataljonu.

Za rozwiązanie zadania taktycznego Nr. 20 otrzymali:

1 nagroda — 35 zł. — chor.

Wańczyk St. z 1 p. s. p.;

2 nagroda — 25 zł. — st. sierż. Rodak Wł. Warszawa.

Ponadto dobre prace nadesłali:

sierż. Ozimek R. i plut. Chajczuk J. z 83 p. p. oraz plut. Rychlicki P. z B. P. R. Nr. 2.

Praca sierż. Gołębińskiego dość dobra — teren źle odczytany.

ZADANIE TAKTYCZNE Nr. 23

Z A Ł O Ż E N I E *)

(Zadanie to jest związane z tematem z Nr. 22, którego założenie należy przypomnieć.

8-a kompania przeznaczona została do odwodu III bataljonu, organizującego obronę w rejonie wsi Kołozomb. Jej pierwszym plutonem dowodzi sierż. W.

O g. 9 został on wezwany do dowódcy bataljonu, który wydał mu następujący rozkaz.

„Bataljon organizuje tutaj obronę na odcinku . . . (wskazuje w terenie). Nieprzyjaciel może nadejść jutro. Linja czat ma objąć te wzgórza przed nami. (Tu dowódca bataljonu wskazał najbliższy w kierunku północnym horyzont, a na nim przedstawiona na szkicu kota 148).

Weźmiecie ze 30 ludzi ze swego plutonu i drużynę ciężkich karabinów maszynowych na taczankach oraz patrol telefoniczny (zgłoszą się zaraz u was) i staniecie jako czata na kocie 148 z zadaniem ubezpieczenia naszej pracy nad organizowaniem pomocy, zaalarmowania nas w ra-

zie zbliżenia się nieprzyjaciela i wycofania się na mój rozkaz. Będzie przy was obserwator artylerji.

Resztę plutonu ze swym zastępcą zostawicie w śródszańcu bataljonu.

Na prawo będziecie mieli czatę z 29 pułku, na lewo — z I bataljonu prawdopodobnie w . . . (tu dowódca bataljonu wskazał przypuszczalne stanowiska tych czat w odległości 1 i pół do 2 km na wschód i zachód).

Na przedpolu wysłany został pluton konnych zwiadowców.

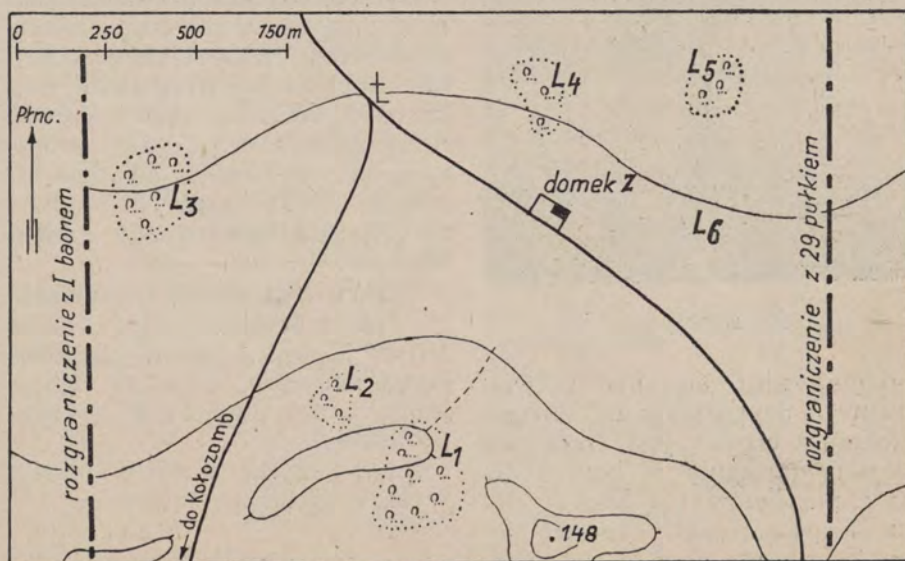
Mój posterunek dowództwa w . . . Meldunki telefoniczne.

Przyjadę do was za godzinę i ureguluję sposób przyszłego wycofania się. Odmaszerować!”.

Pytanie 1. Napisać rozkazy wydane przez sierż. W. przed wyruszeniem na czatę.

Pytanie 2. Napisać rozkazy sierż. W. po przybyciu na kotę 148.

*) Rozwiązania nadsyłać do dnia 30 marca 1931 r.



PO UPADKU GUYNEMERA

11 września 1917 roku Guynemer najzłakomitszy lotnik myśliwski Francji wyleciał wraz z porucznikiem Bozon-Verduraz, atakował dwupłatowiec nieprzyjacielski poza linią bojową, po stronie niemieckiej i więcej nie wrócił.

Bozon-Verduraz odniósł z tego lotu następujące wrażenie: Guynemer po nieudaniu się pierwszego natarcia znurkował, żeby przedłużyć bój i znaleźć stanowisko dogodnie do strzału. Samolot nieprzyjacielski zstępował w korkociąg, zbliżając się do ziemi, od której mógł oczekiwać pomocy. Widząc nadciągających osiem jednoosobowców niemieckich, Bozon-Verduraz, by odciążyć Guynemera postarał się ściągnąć je ku sobie. Niemcy rzucili się w pościg za nim. Powoli eskadra nieprzyjacielska rozprzegła się i rozproszyła w przestrzemi. Wówczas porucznik śpiesznie wrócił na punkt wyjściowy, gdzie oczekiwać winien Guynemer, ale tam niema nikogo. Na ziemi nie znalazł żadnego śladu, który świadczyłby o upadku samolotu. Wzniósł się więc ponownie i opisywał wielkie kręgi w oczekiwaniu towarzysza, który powinien wrócić, który nie może nie wrócić, który zapewne... który na pewno w pościgu zapędził się daleko... Lecz Guynemer wrócił! Trzeba, żeby wrócił. Jest rzeczą niemożliwą, żeby nie wrócił. Niemożliwą?!... Dlaczego?

Bozon-Verduraz czeka. Będzie czekał tyle, ile należy. Minęła



Po zwycięstwie.

godzina, nikt się nie zjawia. Upłynęła druga godzina. Wierny towarzysz ciągle jest sam na miejscu spotkania a kończy się już zapas benzyny. Jeszcze jeden krąg naprzód. Jeszcze jeden. Silnik nie chce dłużej pra-

cować. Trzeba wrócić na lotnisko. Trzeba wrócić samemu.

Bozon-Verduraz wylądował i pierwsze słowo, jakie pada z jego ust:

— Czy jest Guynemer?...

— Nie, niema jeszcze.

Wie doskonale, że nie wrócił. Guynemer nie wrócił!

Wiadomości otrzymane za pośrednictwem Czerwonego Krzyża i ambasady hiszpańskiej stwierdziły, że Guynemer spadł w obszarze zaciętych walk, gdzie ciągle pracowała artylerja tak, że nie udało się odnaleźć ani samolotu ani ciała.

Na wniosek deputowanego kapitana Lasies, parlament francuski na posiedzeniu 19 października zdecydował, że nazwisko kapitana Guynemera będzie wyrzeźbione na murach Panteonu. Listy porucznika Raymonda, dowódcy eskadry „Bocianów“ w zastępstwie rannego Heurtaux i majora Brocarda, dawnego dowódcy dywizjonu myśliwskiego, jeden prosty, drugi wymowny wzruszający — przyjęto oklaskami. Adresowane do kapitana Lasies, dla poparcia go w zamierzonym projekcie, rozpowszechnione zostały w tysiącach egzemplarzy.

Oto one.

— „Panie kapitanie!

Mając zaszczyt zastępować kapitana Heurtaux, dowódcę eskadry Nr. 3, zatrzymanego w szpitalu wskutek ostatniej rany, śpieszę w imieniu nielicznych żywych Bocianów podziękować panu za to, co pan czyni dla pamięci kapitana Guynemera.

Był on naszym przyjacielem i mistrzem, naszą chwałą i naszym sztandarem. Jego strata jest najokrutniejsza ze wszystkich, tak licznych, niestety, jakie przerzedziły nasze szeregi, ale proszę wierzyć, że nasza odwaga nie upadła wraz z nim. Nasz odwet zwycięski będzie twardy i nieubłagany.

Oby wielka dusza Guynemera jak najczęściej spotykała nasze barwy w niebie bitewnym, obymy zawsze zachowali ogień, który w nim gorzał a który nam pozostawił.

Racz przyjąć panie kapitanie wyrazy szczerzego szacunku.

Raymond,

dowódca eskadry Nr. 3“.

A oto list drugi:

„Panie deputowany i drogi kolego!

Jestem bardzo wzruszony na myśl, że pan pragnie uświęcić sławę kapitana Guynemera, ża-



Walka w powietrzu.

dając od kraju oddania mu honorów Panteonu.

Wszyscy o tem myśleliśmy, przeświadczeni, że tylko jego kopała jest dostatecznie wielką, żeby nią nakryć podobnie wspinałe skrzydła.

Biedny chłopiec padł twarzą do nieprzyjaciela, uderzony pociskiem w głowę, w pełni triumfu.

Kilka dni przedtem przysięgał mi, że Niemcy nie wezmą go żywcem.

Jego bohaterski upadek nie jest zapewne bardziej chwalebny, niż śmierć artylerzysty poległego na dziale, piechura zabitego w szturmie, bardziej bolesny, niż żołnierza, który utonął w bagnie.

Ale więcej niż dwa lata wszyscy widzieli go ponad swymi głowami, przemierzającego niebo tak przy pięknym słońcu jak podczas posępnej nawałnicy, unoszącego na swych ubogich skrzydłach część ich marzeń, ich wiary w powodzenie, całe ich zaufanie — wszystkie nadzieje.

Dla nich to: saperów, artylerzystów, piechurów bił się z ciekłą nienawiścią, z całą odwagą młodości, z całą radością triumfów, pewien, że ta walka skończy się dla niego fatalnie, lecz również pewien, że z pokładem swego wojennego płata uratował tysiące istnień. Widząc, że rodzą się szermierze podobni do niego, pozostał wierny swej

ofierze, którą uczynił już był dawno i której nadejścia oczekiwał ze spokojem.

Żołnierz skromny, lecz świadomy wielkości swego zadania, miał przymioty synów tej ziemi, której bronił; wytrwałość w wysiłkach, stanowczość, bez troskę w niebezpieczeństwie, a do tego jeszcze szlachetne serce.

Jego krótkie życie nie znało gorczy, cierpień ani rozwianych złudzeń.

Z liceum, gdzie uczył się historii Francji, wyszedł, żeby pisać nową jej kartę, poszedł na wojnę z oczyma utkwionemi w wytknięty cel, pchany nieświadomą tajemniczą siłą, którą szanowałem tak, jak się szanuje śmierć albo geniusz.

W swem wątku ciele Guynemer piastował tylko jedną myśl i żyłem obok niego z ukrytą w sercu boleścią, bo wiedziałem, że ta myśl prędzej czy później rozsądzi kruchą powłokę.

Biedny chłopiec, wszystkie dzieci Francji, które do niego codziennie pisały, dla których był wcieleniem cudownego ideału, drżały z emocji, przeżywając wszystkie jego radości i niebezpieczeństwa. Był dla nich typem bohatera, o jakich uczyli się w historii! Jego imię wybiegało na wszystkie usta, kochały go, ponieważ widziały w nim sławę jedną z najczystszych naszej ojczyzny.

Panie deputowany, proszę, żeby Panteon był jego ostatnią siedzibą, tam go już zresztą umieściły nasze matki i dzieci.

Major Brocard".

Po przeczytaniu tego listu powstała cała izba i jednogłośnie uchwaliła rezolucję, o wykonanie napisu w Panteonie, który uwieczniłby pamięć kapitana Guynemera, symbolu aspiracji i entuzjazmu narodu.

5 listopada we wszystkich szkołach Francji odczytano głośno te listy i postawiono Guynemera jako przykład wszystkim uczniom Francji, dużym i małym.

Wreszcie wojsko uczciło go jak wodza. Za próżny katafalk posłużyło całe pole, lotnisko w Saint-Pol, sur mer, skąd po raz ostatni startował.

30 listopada, godzina 10 rano. Zacina ostry wiatr z morza. Nie zatrzymuje jego gwałtowności

tama, ochraniająca stare lotnisko. Przed frontem bataljonu w kolumnie, przeznaczonego dla oddania honorów, odcina się dwadzieścia ruchliwych jak fale, sztandarów pułkowych. Są to sztandary, które brały udział w bitwach i zwycięstwach, są bezbarwne, zszarpane kulami w strzępach nieledwie. Na lewo przed zgromadzonymi lotnikami dwie drobne sylwetki, jedna w czarnym dreliszku, druga w niebieskim mundurze; to znakomici myśliwcy, kapitan Heurtaux, wsparty jeszcze na kulach, i podporucznik Fonck. Jeden z nich otrzymuje rozetę oficera legji honorowej, drugi krzyż kawa-



Guynemer na swym „Bocianie” przyjmuje życzenia generalicji.

lorski. Pierwszy, szczupły Heurtaux o wyglądzie dziewczyny, zawsze opanowany i zdumiewająco spokojny w najbardziej ryzykownej chwili — był stałym towarzyszem Guynemera nad rzeką Sommą, nad rzeką Aisne, na północy, jego powiernikiem i rywalem. Drugi, małego wzrostu, młody, pełen prostoty i pewności w boju, nadzieja dnia jutrzejszego, już uwieńczony laurem, być może jutro pomści Guynemera. Według wiadomości, podanej przez gazety, porucznik Wissemann chwalił się w liście do rodziców, że zbił najsłynniejszego lotnika francuskiego i pisał: „Nie obawiajcie się o mnie, już nie spotkam równie strasznego nieprzyjaciela”.

W kilka dni później, 30 września, Wissemann zginął, lecąc na Rumplerze nowego typu. Zabił go Fonck pociskiem w głowę.

Muzyka gra Marsyljanke. Towarzyszy jej łoskot morza, wiatru silników samolotów, opisujących kręgi ponad zgromadzeniem.

Generał Anthoin, dowódca I armji występuje naprzód, twarzą ku sztandarom. Kiedy zamilkły trąby, zaczyna mówić: ostatnią pochwałą oddaje Guynemerowi przed jego towarzyszami i następcami, przed armją, przed Francją. Jego głos góruje ponad wiatrem, który bądź go unosi, bądź łanie.

A oto najpiękniejszy bodaj, końcowy już moment tego przemówienia:

...., Wy panowie, przyjaciele, współzawodnicy — a teraz mściciele jego — znam was i tak, jak byłem pewny Guynemera, tak jestem pewny i was; wy jesteście godni podjąć straszliwe dziełstwo, które wam zostawiono i urzeczywistnić te wielkie nadzieje, które w nim miała Ojczyzna.

I dla stwierdzenia przed sztandarami, które biorę za świadki, tej niezbędnej i trwałej ciągłości, podczas dzisiejszego obchodu ku czci Guynemera, dwum z pośród was, dwum najzacieklejszym szermierzom, wręczam odznaczenia, które są zapłatą za przeszłość i zadatkami na przyszłość”.

I Heurtaux'owi wspartemu na kulach, i Fonck'owi, nagle wyolbrzymionym dzieciom sławy, jeszcze pobladłym ze wzruszenia na słowa pochwały ich przyjaciela i mistrza, generał Anthoin wręcza order legji honorowej.

Ucichł na chwilę wiatr, teraz głos generała brzmi, jak głos modlitwy:

„Wznieśmy serca, złączeni myślą braterską bezgranicznego podziwu dla bohatera, którego I armja nie zapomni nigdy, dla bohatera, z którego była tak dumna i którego wielki cień padać będzie zawsze w historii na wspomnienie jej działań we Flandrii.

„Cienie takie jak Guynemera wiodą, jeżeli chce się za nimi podążać, ku drodze triumfalnej, która poprzez ruiny, grobowce i ofiary, prowadzi do zwycięstwa”.



Fot. W. Pikiel.

PAN MARSZAŁEK, KOMENDANT, CZY DZIADEK?

*Pan Marszałek Piłsudski mieszka w Belwederze,
Mundur nosi rospaniały, orderów rozliczne.
Podróżnych, gdy potrzeba do „galopu” bierze,
Kłaniają Mu się nisko posły zagraniczne.*

*A Komendant pół wieku nosi bluzę szarą,
Był czas, że nie miał nawet i nazwiska *).
Ale swoim rozkazem i wolą i wiarą,
Pod niebo gmach Ojczyzny wznosi z rumowiska.*

*Zaś Dziadek ma dla wszystkich serce dobrotliwe,
Jednakowo miłuje każde polskie dziecko.
Pochwali kiedy dobre, chłoscze gdy leniwe,
Uczy je cenić pracę a pogardzać sprzeczką.*

*Cokolwiek jest potrzebne Rzeczypospolitej,
To jej szczerze szafuje z skarbnicy obfitej
Pan Marszałek — godnością, Komendant — rozkazem,
Dziadek swoim wielkiem sercem, a wszyscy trzej razem.*

*Hej, wiara! My to miemy Piłsudskiego ucznie,
Że w tej trójcy jest zawsze jedność — bez zagadek.
Więc na cześć Komendanta wykrzyknijmy hucznie:
Niech żyje Pan Marszałek, nasz kochany Dziadek!*

Adam Korwalski.

*) Pseudonimy: Ziuk, Mieczysław.

NIEMASZ PANA NAD UŁANA

Anachronizm! Przebrzmiała piosenka obijająca się jeszcze słabym echem o ściany koszar kawalerskich pułków. Tak zgodnym chórem orzekają z jednej strony kawiarniani pacyfiści, których zdaniem, wojen już więcej nie będzie, z drugiej zaś podobnego kalibru strategowie. Ci znowu widzą w przyszłości wojnę maszyn i motorów, gazów trujących i elektrycznych piorunów, wojnę której ofiarami będą ludzie bez odgrywania w niej czynnej roli. Walczyć będą ze sobą chemia i fizyka. Stąd wniosek: kawalerja jest niepotrzebna.

Skąd biorą się te mądre a nieomyślne tezy?

Powodów jest wiele.

Pierwszym jest fakt niezbity, że ludzie, naogół biorąc najpewniejsze sądy wydają w sprawach, na których najmniej się rozumieją.

Drugim jest niezwykle krótka pamięć o szczegółach ostatniej wojny. Istnieje przysłowie niemieckie, brzmiące w dosłownym tłumaczeniu następująco: „z powodu dużej ilości drzew, ludzie niekiedy nie widzą lasu”. W tym wypadku rzecz ma się odwrotnie: z powodu lasu ludzie nie widzą drzew. Cośnieważ w ostatniej wojnie zrobiła i kawalerja. I nie dziwi mnie, że w kawiarniach w Warszawie zapomniano o raidzie kawalerji niemieckiej z Rygi na Mińsk, o roli jaką odegrała kawalerja w pościgu na froncie bałkańskim, o zwycięskim zagonie kawalerji angielskiej w Syrii i o tem, że w wojnie tureckogreckiej decydującą rolę w zwycięstwie tureckim odegrała jazda. Trudniej mi już zrozumieć, że zapomniano u nas o Orlichach-Dreszerach, o Skotnickich, Głuchowskich i Plisowskich, wobec czego nie wiem, czy nie będzie niedelikatnością z mej strony przypomnienie szanownym filozofom niejakiego Budienego?

Jest to gaz, który w swoim czasie niejednemu z nich zatruł niejedną chwilę.

Oczywiście nie bez wpływu na nieużyteczność kawalerji są nasze własne kpiny, bo my kawalerzyści jak prawdziwi panowie, z całą swobodą kpimy często sami z siebie. Pewne znaczenie mają także nasze braterskie walki z kolegami innych broni. My w rodzinie wojskowej kochając się i szanując wzajemnie, docinamy sobie niejednokrotnie w niefrasobliwych żartach w sposób wyrafinowany. Zapomi-



Komendant Piłsudski, wraz ze swym adjutantem por. Wieniarą, autorem naszego feljetonu.

namy przytem, że różnica między człowiekiem mądrym a głupim polega także i na tem, iż człowiek inteligentny sprawy poważne traktuje niekiedy żartobliwie, głupiec zaś bardzo często żarty bierze na serjo.

We wspomnianej wyżej przylaski wojnie my wymyślałyśmy naprzykład lotnikom od nowobogackich, gdyż nie wystarcza im jeden koń a potrzebują co najmniej kilkuset koni pod każdego jeźdźcę, piechurom zaś dokuczamy litością nad ich starą biedą. Nam oczywiście dostają się także niekiedy a nawet często ostre cięgi w tej walce. To też dla każdego logicznie myślącego człowieka dowodem wartości bojowej naszej kawalerji

powinien być fakt, że my zadanie mamy znacznie cięższe od naszej piechoty naprzykład. Bo gdy piechota walczy tylko z nieprzyjacielem, my, kawalerzyści zmagać się musimy nietylko z wrogiem, ale nadto z naszą własną piechotą.

Opinia kawiarnianych pacyfikatorów i strategów, trzymając z większością zwraca się przeciwko nam z tym błędem, że żartobliwe pociski koleżeńskich dowcipów przekuwa na poważne argumenty.

Przypomina mi to jednego z tych surowych sędziów, który kiedyś oświadczył mi, iż cała praca kawalerzystów polega na robieniu głupstw w knajpach. Zmuszony byłem wówczas odpowiedzieć mu, że w każdym bądź razie my, kawalerzyści mniej szkodzimy Ojczyźnie od niego i od niemu podobnych, którzy robią głupstwa w biurach.

Niechcę jednak z nikim poważnie dyskutować na temat pańskości ułańskiej przez wzgląd na niepopULARNOŚĆ tego dogmatu w demokratycznej Rzeczypospolitej, nie mogę jednak powstrzymać się od stwierdzenia jednego niezbitego pewnika: można się wyuczyć na dobrego piechura, ale na kawalerzystę trzeba się urodzić.

Gdy myślę nad tym problemem i moim osobistym doświadczeniem przypominają mi się dwa obrazy z mego życia.

Obraz pierwszy: kawiarnia we Lwowie. W gronie literatów młody student medycyny — krawat mickiewiczowski — włosy blond ułożone w liryczne pukle — dyskusja na nieśmiertelny temat miłości i śmierci prowadzona z entuzjazmem tak smętnym i wnioskami tak beznadziejnymi, że Tadeusz Miciński, poeta również wielki, jak niezrozumiały filozof i mistyk, wychodząc ze mną, gdyż tym młodzieńcem byłem ja, nad ranem z kawiarni bierze odeń słowo honoru, iż w ciągu roku nie odbierze sobie życia.

Obraz drugi: pozycje I brygady pod Kostjuchnowką w roku 1916. Brygadjer Piłsudski przedstawia księdzu biskupowi Bandurskiemu swego adjutanta: „Mój adjutant, porucznik Wieniawa, najweselszy oficer mojej brygady“.

Tę zasadniczą zmianę usposobienia tłumaczy jeden fakt; w międzyczasie poszedłem na wojnę, jakiej nie było i nie będzie i w towarzystwie kolegów, jakich nie było i nie będzie, tłukłem się na końskim grzbiecie po całej Polsce, jak długa i szeroka, używając całą duszą i całym sercem na tej zabawie niezrównanej, na której polega praca kawalerji, a więc na przeszukiwaniu terenu, na grze w ciuciubabkę z kawalerją nieprzyjacielską, na prześlizgiwaniu się między jej patrolami, na czyhaniu w zasadzkach, na gonieniu, ściganiu i umykaniu czasami, oczywiście zwykle przy akompaniamencie strzelaniny i młynkowania szablą.

Zaręczam, iż jest to gra bardzo interesująca od bridge'a, a bardziej emocjonująca i hazardowa od pokiera. Jeśli zaś przytem udało się obronić od spalania przez kozaków kilkadziesiąt polskich wiosek i dworów, jeśli od czasu do czasu dostało się kilka dobrych słów od Komendanta, — to do pioruna — można być dumnym i szczęśliwym.

„Chłopcy“ — tak kiedyś przemawiałem jako dowódca pułku 1-go szwoleżerów do świeżo przybyłych rekrutów — „pomyślcie tylko jacy z was szczęśliwcy. Boć przecie trzeba mieć szczęście, żeby urodzić się mężczyzną, gdyż na świecie zdarza się często człowiekowi przyjść na świat nieuleczalną kobietą, potem trzeba się urodzić Polakiem, trzeba cieszyć się dobrem zdrowiem, trzeba żeby człowieka wzięli do wojska, żeby go przeznaczili do kawalerji. Na to zaś, by trafić do 1-go pułku szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, to trzeba już być wybrańcem losu. Pomyślcie, iż na miliony i miliony mieszkańców świata tylko kilkuset rocznie trafia do naszego pułku“.

Pamiętam moją radość, kiedy dostałem nominację na dowódcę 1-go pułku szwoleżerów i pamiętam, jak z tej okazji służbowo meldowałem się u Marszałka Piłsudskiego, Szefa pułku. Wy-

ciągnięty niby struna recytowałem regulaminowo: „Panie Marszałku, płk. dypl. dr. Wieniawa-Długoszowski melduje się posłusznie jako dowódca 1-go pułku szwoleżerów Józefa Piłsudskiego“.

— Chłopcze kochany! — rzekł do mnie Komendant, biorąc mnie serdecznie za ramię — „wiem jak pan pragnął tej funkcji, i cieszę się bardzo, iż względy służbowe pozwoliły mi na spełnienie pańskiego życzenia. Uważaj pan tylko, aby pańscy szwoleżerowie zanadto nie dokazywali“.

— Melduję posłusznie — odrzekłem, przybierając znowu ton i postawę służbową — melduję posłusznie, że żaden nie będzie miał prawa dokazywać więcej ode mnie“.

— „Niech pana kule biją, niebardzo mnie pan uspokoił“ — z uśmiechem powiedział mi Komendant.

W życiu mojem nadokazywałem się i napsociłem niemało. Byłoby brzydko z mej strony, gdybym przeczył temu dzisiaj, gdy po długich i ciężkich cierpieniach (wychowawców, profesorów i przełożonych) stałem się wreszcie poważnym człowiekiem zdecydowanie i ostatecznie.

Mogę na to przysiąc — jak zwykł był mawiać jeden cynik — ale założyć się nie założę.

Natomiast z prawdziwie szwoleżerską pychą wspominam słowa Komendanta, z którymi zwrócił się do mnie przed kilku laty.

— „Wiecie chłopcze, wypytywałem o was generała Krzemińskiego, który z nas wszystkich zna was najdawniej“. (Generał Krzemiński był moim kolegą od pierwszej klasy gimnazjalnej. Przyp. autora). „Nalegałem nań, by mi szczerze powiedział, czyście kiedykolwiek nie zrobili jakiegoś świństwa. I wie pan co mi odpowiedział generał — Panie Marszałku, głupstw na pewno bez liku, ale świństwa nigdy żadnego“.

Summa summarum jest to mniej więcej charakterystyka każdego prawego kawalerzysty. Płochę to jest bractwo, psotliwe, dokuczliwe i pyskate, ale serca mają złote.

Można się na nich gniewać czasami, ale kochać trzeba ich zawsze.

Nakoniec jedno jeszcze wspomnienie.

W roku 1916 podczas najkrwawszej naszej bitwy pod Kostjuchnowką, kiedy sto dwadzieścia armat rosyjskich huraganowym ogniem zasypywało nasze pozycje i dojścia do niej wezwał mnie do siebie Komendant i powiedział:

— Wieniawa, nie wiem, co się dzieje z Berbeckim i z 5 pułkiem piechoty, połączenia telefoniczne zostały zupełnie zniszczone ogniem artyleryjskim, muszę jak najprędzej mieć wiadomości z lewego skrzydła naszego odcinka. Pan musi mi ich dostarczyć, pańska głowa w tem, jak pan to zrobi“.

— Rozkaz! — odrzekłem, dając w duchu — moja głowa, ale nogi mego Junaka.

W kilka minut później, bodąc ostrogami mego Bogu ducha winnego walecha galopowałem w szrapnelowym deszczu i wśród wybuchających dokoła granatów ku pozycjom 5-go pułku piechoty.

W drodze natknąłem się na batalion 6-go pułku piechoty, który jako ostatnia rezerwa okopywał się na drugiej linii.

— Tę ulan, dokąd pędzisz, uważaj, tu strzelają — doleciało mnie urągliwe ostrzeżenie z szeregów piechoty.

— Furda obywatelu! — ryknąłem za siebie, starając się przekrzyknąć, wątpię czy skutecznie, łomot armatni — to przecie do was strzelają, do piechoty, a nie do mnie — ulana“.

Wtedy to, kiedy dokoła mnie niebo i ziemia kipiały żywym ogniem, kiedy przeskakiwałem w cwał jak w biegu myśliwskim przez wykroty i leje granatami wyrwane, w których przed ogniem artyleryjskim szukali schronienia piechury, z dumą przyśpiywałem sobie w duchu:

„Niema pana nad ulana“.

Wiadomo bowiem, że my, kawalerzyści kochamy się w ryzyku i w niebezpieczeństwie i dlatego najprawdopodobniej tak często się kochamy, boć przecie dla polskiego kawalerzysty największym, najryzykowniejszym niebezpieczeństwem, groźniejszym od kul nieprzyjacielskich i lanc, jest bezsprzecznie polska niewiasta.

Bolesław Wieniawa-Długoszowski.



Obchód setnej rocznicy bitwy grochowskiej.



Zaprzysiężenie rekrutów w Hiszpanji.

go Ekszelencję o życzliwe poparcie zarówno Jego, jak i Jego Rządu“.

Na przemówienie to Pan Prezydent Rzplitej oświadczył m. innemi:

„Główna i dokładna znajomość zadań, które Pana czekają, ułatwi Panu bezwątpienia spełnienie powierzonej Mu misji w zrozumieniu słuszych interesów obydwu naszych narodów.

Słusznie stwierdził Pan, że zdrowy i normalny rozkwit sił narodowych możliwy jest tylko przy pełnej zaufania międzynarodowej współpracy. Jedynie bowiem w atmosferze tego zaufania, wzajemnego szacunku i zrozumienia istotnych żywotnych potrzeb narodowych, współpraca ta w duchu słuszności, opartej na prawie, dać może konkretne wyniki, przyczyniając się do dalszego pokojowego rozwoju naszych narodów, a przez to i całego kontynentu.

Z zadowoleniem przyjmuję do wiadomości, że pragnie Pan, Panie Pośle,

poświęcić wszystkie swe siły zaszczytnemu zadaniu rozbudowy w tym duchu wzajemnych stosunków obu państw i proszę Pana być przekonanym, że w



Hans Moltke, nowy poseł niemiecki w Polsce.

To wszystko co Mołotow mówi o tym jest nie ściśle, że Polacy okazują maximum dobrej woli i chęci współpracy, lecz niestety nie zawsze mogą liczyć na lojalność swego wschodniego sąsiada.

Kwestja rozbrojeniowa musi być parta szczerą intencją pokoju. Nie zawsze jednak rzeczy te są uchwytne a tem mniej gwarantujące nienaruszalność granic.

JAKO żywy pomnik 10-lecia niepodległości Polski wybudowano w Tarnowskich Górach składający się z 4 budynków na 140 łóżek szpital powiatowy, którego koszt budowy wyniosły około 900 tysięcy złotych.

Uroczyste poświęcenie uruchomionego już szpitala odbyło się w ubiegłym tygodniu przy licznych udziałach przedstawicieli miejscowego społeczeństwa i władz.

tych usiłowaniach liczyć Pan może na pełne poparcie moje, jak również Rządu Rzeczypospolitej“.

ZJAZD rad Z. S. R. R. odbył się w ubiegłą niedzielę pod przewodnictwem Kalinina. Prace zjazdu ograniczone zostały do expose prezesa rządu Mołotowa, który odpowiedział na zarzuty wyrażone pod adresem Związku Sowieckiego w kołach zagranicznych.

Omawiając sprawy polityki międzynarodowej poruszył również stosunki z Polską. Wyraził to w ten sposób, że mogłyby one być lepsze, jednakże na czynione ze strony Sowieckich próby polepszenia tych stosunków Polska nie odpowiadała. Mołotow ma za złe rządowi polskiemu, że delegacja polska w komisji rozbrojeniowej przeciwstawiła się wszelkim projektom mającym na celu zmniejszenie zbrojeń.



Pocztę chorągwiową w czasie parady w d. 1 marca w Berlinie.



Tak mygląda pralnia w Hiszpanji.

MYŚLI I SŁOWA KOMENDANTA

(Józef Piłsudski — „Pisma—Mowy—Rozkazy”—Wydanie zbiorowe prac dotychczas drukami ogłoszonych. — Instytut badania najnowszej historii Polski. Warszawa MCMXXX Towarzystwo wydawnicze „Polska Zjednoczona”).

Trzy pierwsze tomy pism Józefa Piłsudskiego, które ukazały się dotąd, zasługują na to, by im baczniejszą poświęcić uwagę.

To monumentalne wydawnictwo, redagowane przez komitet wydawniczy, złożony z takich fachowców i znawców najnowszej historii naszej, jak prof. Michał Sokolnicki i szef Biura Historycznego gen. Julian Stachiewicz — winno zainteresować całą Polskę.

Jest to bowiem nie tylko źródło pierwszorzędne dla badaczy tak ruchu socjalistycznego w Polsce — mowa oczywiście o pierwszych trzech tomach — jak i żywota tego niezwykłego fenomenu, któremu na imię — Józef Piłsudski, pierwszej tego żywota fazy, można by powiedzieć podziemnej, ale także wspaniała, krwią i mocą charakteru tętniąca, lekcja dla najszerzych warstw narodu polskiego nie jak się za Polskę ginie — bo to zrobić można tylko raz — ale jak się dla Niej żyje. Jak żyje się dla Niej, umiłowanej nade wszystko, z dnia na dzień, w szarym trudzie, wbrew nadziejom i przeciwnościom, wrogom obcym i zdrajcom własnym naprzekór, w atmosferze tchórzliwego filisterstwa i zaprzeczającej ugody. Żyje się nie gdzieś tam, raz do roku, z okazji specjalnego święta, lecz miesiąc po miesiącu, dzień po dniu, a z lat tych składa się długi łańcuch udręki. Żyje i pracuje bez wywiechtanego frazesu, bez ozdób i poklasku beziemiennie przeważnie, przezwyciężając niechęć i obojętność najbliższych.

Cóż bowiem zawierają te trzy pierwsze tomy? Obszerną przedewszystkiem przedmowę wydawców i wstęp Wasilewskiego, którzy na XX kartach uzasadniają konieczność wydania takiej pracy. Konieczność tą czuje każdy z nas bez dużych słów. Mówi się więc w tej przedmowie o tem, jak trudno było nieraz te fragmenty poszczególne wyławiać i zidentyfikować jako niezbitce z pod pióra Komendanta pochodzące. Nic dziwnego, że w pierwszym zwłaszcza okresie pisał je Piłsudski w takich warunkach, że za każde z tych słów Jego, które was dziś wzrusza i rozpała, nie tylko on sam nałożyć mógł głowę, ale co więcej umiłowaną przez siebie robotę na szwank narazić. To też taji swe autorstwo, chodzi mu o rzecz samą, by żywe, wolne, polskie słowo dotarło do mas, a to, że On jest tego słowa autorem było wówczas rzeczą drugorzędą. Dziś — jest inaczej. Każda myśl, każde słowo Komendanta, to własność i skarb cenny ogółu, za którym żmudne nieraz odbywa się poszukiwanie.

Za punkt wyjścia, punkt początkowy wybrał komitet redakcyjny rok 1893. W tym roku, Piłsudski po powrocie z Syberji dokąd Go zesłali Moskale, ten jeden raz najniewinniej w świecie, za rzekomy udział w zamachu na cara, po raz pierwszy wstępuje na widownię publiczną, zaciągając się do P. P. S.

Równocześnie powierza Mu partja redakcję tajnego pisma, tłoczonego na prasie ręcznej — „Robotnika”. Zrazem w tym samym czasie pisuje On korespondencje do londyńskiego pisma socjalistycznego „Przedświt”, oczywiście anonimowo.

W tomie I więc zamieszczone te wszystkie korespondencje i artykuły, posyłane tajnie z Wilna do Londynu, które udało się wyłowić i bezspornie uznać jako pochodzące z pod pióra Piłsudskiego. Jest ich kilkanaście, pisanych w latach 1893 do 1899.

Dalej idzie okazała liczba artykułów z „Robotnika”, artykułów pisanych na gorąco, pod wrażeniem chwili i pod kątem aktualnych w danym okresie interesów Polskiej Partji Socjalistycznej. Obejmują one lata 1894 do 1900. Kończy je obszerniejsza rozprawka, odbitka z „Robotnika”, p. t. „Rosja”, charakteryzująca w sposób popularny, na użytek robotniczy, ówczesne imperjum carów.

Wstęp do „Memorjału księcia Imieretynskiego”, wielkorządcy Królestwa Kongresowego, memorjału tajnego, adresowanego do tronu, a wykradzionego i ogłoszonego drukiem przez P. P. S. ku wielkiej konsternacji Moskali oraz liczne odezwy partyjne, wstrząsające sumieniem ówczesnego społeczeństwa, kończą tom pierwszy. (Str. 448 i XXXII).

Bogate i wyczerpujące przypisy znajdziemy na końcu każdego tomu.

Tom II nieco szerszy (str. VIII nl. i 362 i XIX przypisów) rozpoczyna wzruszające w swej twardej prostocie wyznanie Wodza — „Jak stałem się socjalistą?” (r. 1903). Wynika niezbitce z tego artykułu, iż socjalizm dla Piłsudskiego był drogą, jak Mu się wydawało, najwłaściwszą do celu wielkiego i świętego, jakim była Niepodległość Polski.

Następują 3 artykuły z „Kalendarzy robotniczych”, zawierające wspomnienie z owej ponurej nocy, jaką było życie pod caratem.

„Walka rewolucyjna w zaborze rosyjskim. Cz. I. Bibuła” — oto tytuł następnej dłuższej pracy, pisanej już i drukowanej pod zaborem austriackim, w Krakowie w socjalistycznym „Naprzodzie”, pod redakcją Ignacego Daszyńskiego. Czyta się tę pracę dziś jak najbardziej fantastyczny romans awanturniczy, tak niepodobne do prawdy wydaje się to wszystko, co ten Człowiek i jego współpracownicy przeżyli w owych latach. A przecież to już nasz, bieżący wiek XX! Rok 1903...

Resztę tomu wypełniają artykuły i pisma aktualne.

Na t. III (str. IX nl. 388 i XVII przyp.) składają się krótsze artykuły z okresu ostatniego przed wojną światową 1910 do 1914, t. zn. do jej wybuchu.

I tak najprzód znajdujemy wykład Wodza z r. 1910 o historii organizacji bojowej P. P. S., wypowiedziane na specjalnym kursie bojowców we Lwowie i Krakowie, wydane potem beziemiennie w osobnej broszurze. Cel tych wykładów pedagogiczny przedewszyst-

kiem i praktyczny; omawia w nich Piłsudski wady i zalety tak niedawno krwawo stłumionej rewolucji proletariatu polskiego w Kongresówce, rzucając przytem wiele ze swych genialnych przemyśleń i wyniki drobniejszej analizy klęski ruchu rewolucyjnego dotychczas.

Następny artykuł „Reformy armji rosyjskiej” po wojnie z Japończykami jest tych wykładów jakby uzupełnieniem. To samo można powiedzieć o surowej, ale jakże słusznej krytyce pierwszego polskiego „Regulaminu wojskowego” — w mało udolnym przekładzie ówczesnych regulaminów c. i k. armji.

„Bunt więzienny w Irkucku” — to znów nawrót do obfitej krynicy wspomnień osobistych.

„Kryzysy bojów”, odczyt wygłoszony publicznie we Lwowie, odczyt — który zwrócił uwagę szerszego ogółu społeczeństwa galicyjskiego na tę niezwykłą postać tak skutecznie działającą w owych latach we Lwowie, bez rozgłosu i fanfaronady, to zapowiedź owych świetnych zwycięstw Wodza w latach wojny. „Nie liczba, nie technika wodza i wojska ma głos decydujący w walce — oświadczył wówczas Piłsudski — ale „morale” — poczucie psychiczne żołnierzy i dowódców”. W owych czasach uwielbienia dla siły materialnej — była to istna rewelacja.

Obszerna praca p. t. „Zarys historii militarnej powstania styczniowego”, to cykl odczytów znowu, wygłoszonych w szkole nauk społeczno-politycznych w Krakowie w r. 1912. Uzupełnia je pismo p. n. „22 stycznia 1863”, ogłoszone w r. 1914 jako wstęp do wydawnictwa poznańskiego „Boje polskie”. Jedną i drugą pracę uplastycznia specjalna mapka, rysunku autora.

Że Piłsudski zajmował wręcz odmiennie stanowisko od tych wszystkich popowstaniowych „pozytywistów” polskich, którzy w potępieniu r. 1863 dochodzili do konkluzji, iż walka zbrojna o Niepodległość jest wogóle bezcelowa, nie potrzeba przypominać. Zresztą teorii swoich słusność potwierdził Komendant najbardziej przekonującym argumentem — zwycięskim czynem zbrojnym.

Najbardziej może historycznie interesujące będą pisma Komendanta, drukowane w ostatnich dwóch latach przedwojennych z racji swej wyczerpującej tempem i nasileniem pracy nad przygotowaniem kadr armji polskiej na wypadek wojny, której zbliżanie się czuł swym genialnym instynktem — artykuły ze „Strzelca”.

Wyczerpujące omówienie tych pierwszych trzech tomów mogłoby tworzyć obszerną broszurę dla siebie. Brak miejsca zmusza do ograniczenia się do pobieżnego jedynie przeglądu.

Tomy dotychczas wydane — to lektura niezwykle ciekawa. Doskonały papier i piękny, czytelny druk, jak wogóle niezwykle troskliwa szata zewnętrzna tego wydawnictwa, czynią tę lekturę tem miłą.